



Bezdroża

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo Bezdroża dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo Bezdroża nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Michał Mrowiec
Projekt okładki i mapa: Natalia Oprowska
Skład: Adrian Partyka

Zdjęcia: Ania i Robert Maciąg

Wydawnictwo Bezdroża Sp. z o.o.
ul. Michała Bałuckiego 21/2, 30-318 Kraków
tel. 12 2692961, faks: 12 2677711
e-mail: redakcja@helion.pl
WWW: <http://bezdroza.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

ISBN: 978-83-246-3634-1

Copyright © Robert Maciąg 2012

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)



Spis treści

7 ♦ Kolejny początek

12 ♦ Syria

72 ♦ Turcja

86 ♦ Iran

134 ♦ Turkmenistan

152 ♦ Uzbekistan

192 ♦ Tadżykistan

258 ♦ Chiny

314 ♦ Koniec?





Buchara

Choć we wszelkich przewodnikach napisane jest, że na terenach przygranicznych nie wolno nocować, rozbiliśmy namioty ledwo ze dwa kilometry od płotu z kolczastego drutu oddzielającego Turkmenistan od Uzbekistanu. Nie byliśmy żadnymi chojrakami ani nie próbowaliśmy czegoś dowieść czy rzucić czemuś wyzwania, tylko najzwyczajniej zrobiło się późno. Trzeba było położyć się gdzieś spać, a nie jeździć po nocy po obcym kraju. Wojskowi z przygranicznych koszar napełnili nam bukłaki wodą i o nic nie pytali, więc wzięliśmy to za dobrą monetę.

Rozbiliśmy się nad kanałem, którym wolno płynęła beżowa woda z niedalekiej Amu-darii. Ten beżowy kolor prześladował nas od początku podróży i powoli zaczął nudzić. Otaczająca na znów beżowa jałowość i walka o życie byle roślinki i byle zwierzątko nie była już nijak malownicza czy ekscytująca. Beż stał się wybitnie passé, jak to teraz mówią. Był już dla nas nie w modzie, pożądaliśmy zieleni. Soczystej i takiej po horyzont, a nie przykrytej beżowym (!) kurzem i szczątkowej.

Rozbiliśmy się nie tylko nad kanałem, ale i pod drzewami, którymi ktoś kiedyś (i chwała mu za to) obsadził ten brzeg. Tuż obok stało kilka samochodów, a w cieniu drzew odbywała się impreza miejscowych. Kilku mężczyzn kąpało się w nurtach leniwego kanału, coś tam podjadali i popijali, a wszystko to przy dźwiękach rosyjskojęzycznego disco ryczącego

z jednego z samochodów. Jeden z nich, gdy już wzięliśmy się za gotowanie makaronu, przyniósł nam kawałek melona.

„Na zdrowie — powiedział. — Witamy w Uzbekistanie! Tylko nie kąpcie się w kanałach, bo woda za mocna. Trzeba wiedzieć, gdzie można, i umieć też trzeba”.

I wskoczył do wody, która choć spokojna, od razu zabrała go z nurtem. Żeby utrzymać się w jednym miejscu, musiał cały czas płynąć pod prąd. Gdy tylko zwolnił, od razu zniknął wszystkim z oczu. Przyszedł co prawda po niecałej minucie, ale nikt jakoś tego nie zauważył.

Nie od dziś wiadomo, że można być kobietą Podróżującą po Świecie, a i tak raz w miesiącu jest się po prostu kobietą. Już nie twardą i wytrwałą, ale zwyczajną, obolałą, małą kobietą. Mało co można wtedy zrobić, a w wielostopniowym upale i po kilkudziesięciu kilometrach można jeszcze mniej. Trzeba oddać się pod opiekę. Najlepiej innym kobietom, jak to zrobiła Ania. Pod przydrożnym sklepikiem położyła się na tapczanie, zwinęła się w kulkę i zasnęła. Właścicielka, wielka kobieta, zapytała, co się stało, a jak tylko złapałem się za brzuch i powiedziałem: „žensczinskije probliemy” **[41]**, ona już wiedziała, co robić. Przyniosła Ani poduszkę pod głowę, a sama usiadła obok i najzwyczajniej ugłaskała ją do snu.

Pod bucharskim Arkim **[42]** rządzą cinkciarze, czy to się komuś podoba, czy nie. Dla turysty sytuacja jest jasna: jak trzeba wymienić dolary, to idzie się pod Registan **[43]**, tam

[41] Z rosyjskiego: „kobiece problemy”. Przy okazji muszę się wytłumaczyć — jeżeli ktoś dopatrzył się jakichś karygodnych błędów w tym moim „rosyjskim”, to pewnie dlatego, że był to „rosyjski mocno improwizowany”.

[42] Cytadela w Bucharze.

[43] Rynek, serce miasta. Właściwie nazwa „Registan” była zarezerwowana dla Samarkandy, ale od jakiegoś czasu również plac w Bucharze jest tak określany. To tutaj dokonywano egzekucji i ogłaszano obwieszczenia.



dwunożny kantor wymiany walut najpierw pyta, ile tych dolarów będzie, mówi swoją cenę, a następnie daje nam odliczone pieniądze, byśmy przeliczyli, czy aby na pewno wszystko się zgadza. Dopiero potem bierze od nas pieniądze.

Czysto, szybko i uczciwie.

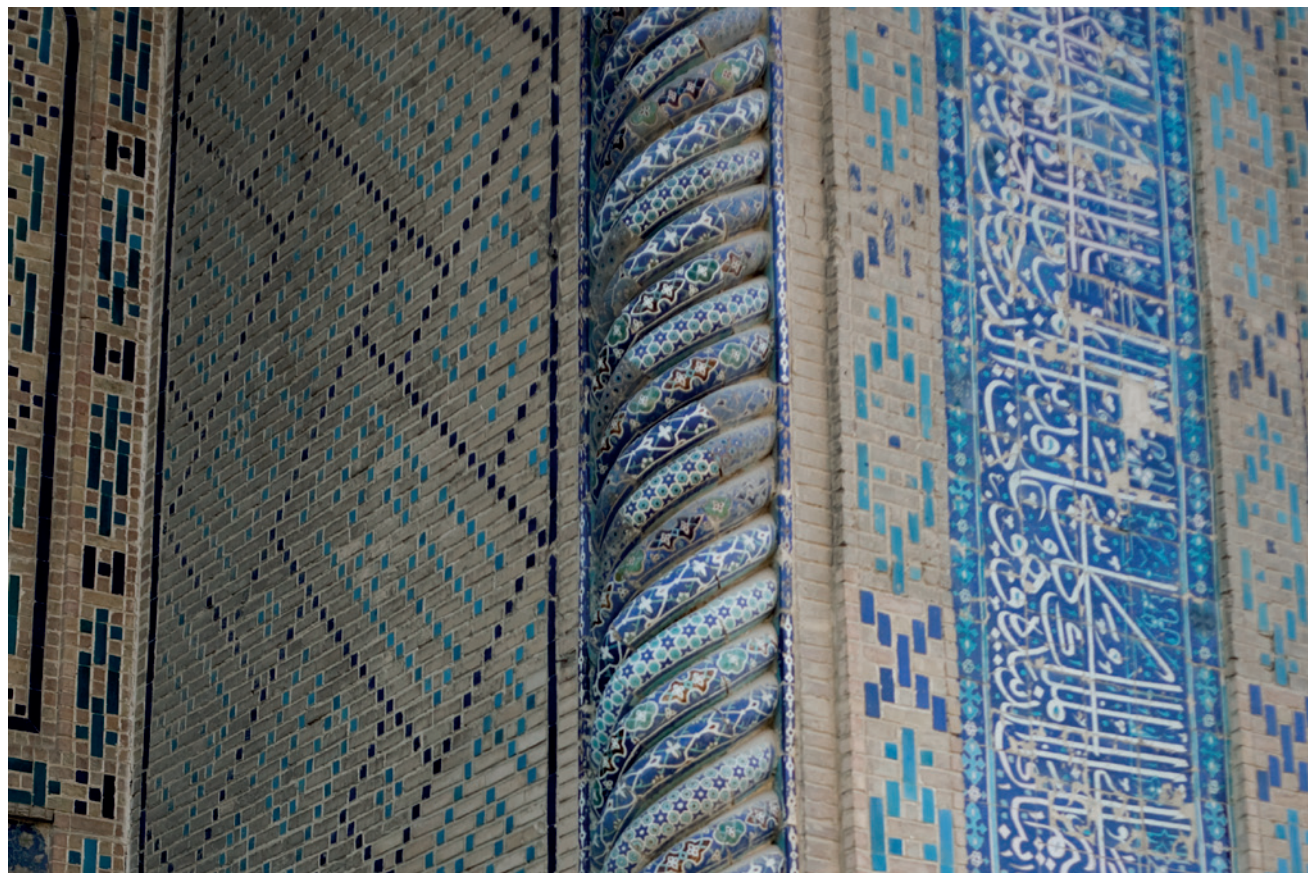
Na sam Registan, wciśnięty pomiędzy medresę Mir-i Arab, meczet Kalyan oraz symbol Buchary — gigantyczny minaret Kalyan, cinkciarze nie wchodzi. Niech sobie turysta spokojnie poogląda. W końcu po to tu przyjechał.

Każda praca jest potrzebna, a praca cinkciarza w kraju, w którym nie ma bankomatów — bardziej niż gdzie indziej. Bankomaty tak naprawdę są, ale turyście, na jego kartę kredytową, i tak wydają dolary. Kiedyś podróżując po świecie, martwiliśmy się, gdzie i jak przewieźć pieniądze. Niektórzy zaszywali banknoty w różnych miejscach, inni wozili czeki podróżne i spędzali nawet godziny (na przykład w Pakistanie), by je zamienić na gotówkę. Każdy po cichu bał się kradzieży, bo bez pieniędzy nie mógłby wrócić do domu. Dziś wszystko się zmieniło. Nawet strach. Dziś już nie martwimy się kradzieżą, ale tym, że zapomnimy PIN do karty kredytowej, albo faktem, że najbliższy bankomat jest 150 kilometrów dalej, w dodatku nie wiadomo, czy działa i czy przyjmie naszą kartę.

Każdy czas ma swoje lęki.

Nad wszystkim góruje olbrzymia kolumna minaretu. Jest wysoki na 46 metrów, a jego podstawa ma dziewięć metrów średnicy. Wieża zbudowana jest z cegieł i ceglami zdobiona. Na jego powierzchni nie ma ceramiki jak na sąsiednich medresach. O nie! Ta powierzchnia zdobiona jest ceglana układanką, która ani razu w jego 800-letniej historii nie wymagała remontu. Wszystko stoi tak, jak stało w pierwszych dniach. Minaret oparł się nawet, jako jedyna w tym mieście budowla, najazdowi Mongołów.

A może Mongołowie, zauroczeni jego potęgą, nawet nie próbowali go zniszczyć? Oszczędzili go, bo nie mogli sobie wyobrazić, że można zniszczyć coś tak potężnego?





[Kup książkę](#)

158 *Uzbekistan*

[Poleć książkę](#)

Trzeba być jednak realistą i przyjąć wersję, że zwyczajnie nie dali rady. Przecież oni niszczyli wszystko. Właśnie tak: WSZYSTKO.

Na bucharskim Registanie nie ma już wygodnych ławek, na których można by siedzieć i rozmawiać z Persami, Turkami, Rosjanami, Chińczykami, a nawet Hindusami i „ludźmi z Kabulu”. Można by poznać kilku Turkmenów, Kałmuków i Kozaków. Zarówno ludzi z manierami godnymi królów, jak i grubiańskich ponoć Tatarów. Uzbeków bucharskich odróżnilibyśmy łatwo od Uzbeków z innych krain, a to dzięki wełnianym, wysokim nawet na 30 centymetrów czapkom.

Kiedyś, przed panowaniem Rosji, a później ZSRR, Rosjan łatwo było poznać po ich rudych brodach, szarych oczach i bladej skórze, ale przede wszystkim po ich biedzie. Żyli w Bucharze w zasadzie jak niewolnicy uciekający przed przeszłością pozostawioną w Rosji.

Od setek lat mieszkali tu ludzie z całej Azji. Wędrowali Jedwabnym Szlakiem, podbijali nawzajem swoje ziemie. Gdy w X wieku niejaki Abu Dolaf Al-Yanbui wydał w Bucharze książkę o swych podróżach, nikogo to nie dziwiło. Zajechał aż do Indii — mówili. Widział wspaniałe miejsca — czytali. Na skrzyżowaniu Jedwabnego Szlaku nie było to nic niezwykłego. Było to jakby... oczywiście. Lata później, gdy okazało się, że wszystkie te historyjki, opisy miejsc niestety nie trzymają się kupy, przestano mu oczywiście wierzyć. Jednak nikt przez chwilę nie sądził, że Abu Dolaf cokolwiek zmyślił. Wszystkie te historie były prawdziwe, tyle tylko że nie jego. Buchara była centrum Azji Środkowej i wystarczyło usiąść w tawernie, posłuchać opowieści karawaniarzy — i cały świat stawał nam przed oczami. Abu Dolaf tylko to wszystko spisał. Wszystko było gotowe, podane na tacy.

Pewnego razu Bucharę odwiedził nawet egipski faraon, ale to już zupełnie inna historia **[44]**.

[44] Oczywiście w przenośni. Na pustyni otaczającej Bucharę kręcono polski film *Faraon*. Jako statystów trzeba było zaprosić radzieckich żołnierzy — skośnoocy Uzbeki nie n dawali się na Egipcjan. W Bucharze kręcono również *Pamiętnik znaleziony w Saragossie*.

Wśród medres i meczetów ukrywał się kiedyś bazar. Od świtu do zmierzchu rozbrzmiewał mručeniem tłumu. Stragany ugięły się od winogron, moreli, jabłek, brzoskwiń, śliwek i arbuzów. Wśród straganów stały małe piecyki, na których parzyła się powoli herbata. Pito ją na wiele sposobów.

Z cukrem i bez.

Z mlekiem i bez.

Z masłem, z solą, jak kto lubił.

Na bazarze można było kupić tytoń i fajki, ale nie wolno było palić na ulicach. Gdy ktoś przyłapał nałogowego nieszczęśnika na paleniu, zaciągano go przed oblicze sędziego i zwyczajowo biczowano lub obwożono po mieście, z osmoloną twarzą, na ośle. Jeżeli ktoś nieroztropny puszczał w piątek, czyli muzułmański dzień święty, gołębie, objeżdżał miasto na wielbłądzie, z martwym ptakiem zawieszonym na szyi.

Pomiędzy straganami z herbatą z Chin, przyprawami z Filipin i cukrem z Indii można było spotkać zarówno możnych tego miasta, jak i żebraków ustawionych razem w kolejce do kopczyków śniegu, którym schładzali wodę czy sok z winogron. Śnieg był tak tani, że nawet żebraka było stać na jego zakup.

Dziś stary bazar zastąpiły stragany z pamiątkowymi nożami, pamiątkowymi figurkami, pamiątkowymi czapkami, kawałkami kilimów, plecionymi siatkami na plastikowe butelki i wszystkim, co turyści zabiorą ze sobą do domu.

Wieczorami, gdy ukryte w arkadach medres i meczetów stragany znikają, gdy ta pamiątkowa pozostałość po niegdyś wspaniałym bazarze chowa się, całe życie starego miasta przenosi się na plac Lyabi-Hauz. Dookoła niewielkiej sadzawki^[45] poustawiane są restauracyjne ogródki, a na scenie, przy pomniku mułły Nasreddina, zawsze coś się dzieje.

[45] Lyabi-hauz w języku perskim oznacza: „brzeg sadzawki” lub „nad sadzawką”.

Na przykład odbywają się tańce albo jest jakiś koncert. Uzbekcy turyści próbują zaprzyjaźnić się z tymi z Zachodu. Częstoują się serem, somsami **[46]**, ale przede wszystkim piwem, które wolno pić przy stolikach, ale na chodniku już nie. Dbą o to policja.

Gdyby wierzyć legendzie, ogrodnik chana Buchary, Nodir Divan Begi, zapragnął pewnego kawałka ziemi, by wybudować na nim dom. Na jego nieszczęście mieszkała już tam jedna samotna kobieta i za nic nie chciała ani się wyprowadzić, ani sprzedać ziemi. Wtedy ogrodnik postanowił wybudować pod domem biednej kobiety kanał i woda powoli zaczęła wymywać najpierw grunty, potem ściany. Nieszczęsna, nie mając się komu poskarżyć, sprzedawała swój dom. Poddani chana potajemnie nazywali powstałą sadzawkę Khan Khauz, czyli „sadzawką przemocy”. Jej brzegi zbudowane są z olbrzymich bloków żółtego wapienia, a oprócz restauracyjnych stolików sąsiaduje z nią betonowa karawana wielbłądów.

Dziś dookoła sadzawki tętni nocne życie. Dobre jedzenie, miłosne spacer, muzyka i śpiew. Totalna beztroska i wieczorne zapomnienie. Tak się złożyło, że z całej grupy napotkanych przez nas w Bucharze rowerzystów tylko ja dukałem coś po rosyjsku i to na mnie skupiła się cała ciekawość Uzbeków. Tylko ze mną można było porozmawiać i kiedy inni bawili się przy kolejnych piwach i we własnym towarzystwie, ja starałem się jak mogłem porozmawiać w improwizowanym rosyjskim.

Męczące to było. Bardzo. Nie tylko upał i zwykłe wieczorne znużenie, ale ta intensywność kontaktu i liczba rozmówców plus moja oczywista frustracja. Brakowało mi słów, a oni wierzyli, że rosyjski to ja mam w małym palcu i że porozmawiamy nie tylko o banałach, ale i filozofii życia, wszechświecie i całej reszcie. I nawet jakoś nam się to udawało. Pomagało piwo, bo przy nim zawsze rozwiązuje się język. W pewnym momencie podeszła do mnie starsza kobieta. „Bo ja jestem Żydówką, wiesz? — zagadnęła. — Ciężko nam się tutaj żyje.

Zawsze tak się żyło, a teraz prawie wszyscy wyjechali. Do Ameryki i Izraela. Sami tu teraz jesteśmy. Tylko kilka rodzin zostało, a jak do Uzbekistanu przyjechał Clinton, to z nim była taka dziewczyna. Rachela. I ona tu do nas przyjechała i robiła nam zdjęcia. No i z nami też. Z całą rodziną. I do Ameryki zabrała. Rachela. Jak Clinton był. Dawno temu, ale pocztówkę przysłała”.

Po raz pierwszy Żydzi zaczęli pojawiać się w Bucharze już w VII wieku p.n.e. Przybyli prosto z Babilonu i gdy trzysta lat później Aleksander Wielki przejeżdżał przez miasto, było ich tu tak wielu, że zauważyli to nawet historycy Aleksandra. Oczywiście Żydzi włączyli się w handel kwitnący wzdłuż Jedwabnego Szlaku, a było czym handlować.

Ze wschodu przywożono wonności, papier, atrament, siodła, filc, cynamon i oczywiście jedwab. Z zachodu srebro, złoto, lekarstwa, niewolnice, hydraulików i kamieniarzy umiejących obrabiać marmur. Z północy, rzeką Wołgą i Morzem Kaspijskim, bursztyny, skóry, futra, miecze i znów... niewolników.

Gdy Uzbegy, po czasach rządów arabskich, przejęli miasto, Żydów zaczęto prześladować. Musieli nosić żółto-czarne ubrania, by wyróżniać się z tłumu. Gdy płacili roczny podatek, na „do widzenia” otrzymywali policzek od urzędnika. Oczywiście publicznie. Nie wolno im było przy muzułmanach jeździć nawet na osle, więc po całym mieście dreptali pieszo. Bywało jednak i tak, że w meczecie Magak-i Attari, wybudowanym przy placu Lyabi-Hauz, modlili się Żydzi. Historycy nie są jedynie zgodni, czy robili to po modlitwach muzułmanów, czy może razem z nimi. Gdy lata później do Buchary wkroczyła Armia Czerwona, Żydzi, wierząc, że komunizm przyniesie im równość, chętnie go poparli. Niestety, nowa władza szybko zapomniała o ich pomocy.

Na tę nocną zabawę, na tańce i śpiewy, na turystów, na dzieci spoglądała betonowa karawana wielbłądów i pomnik muły Nasreddina, którego miejscowi nazywają zwyczajnie:

Hodża. Mułła jest postacią legendarną, choć bucharczycy daliby sobie pewnie rękę uciąć, żeby był prawdziwą. Zasłynął w świecie islamu ze swych zabawnych historii i prostoty ducha.

Proste historie o prostych problemach.

Życiowe.

Nasreddin rozrzucił garściami okruszki wokół swego domu.

— Co robisz? — ktoś go zapytał.

— Trzymam z dala tygrysy.

— Ale przecież tutaj nie ma tygrysów!

— No właśnie, skuteczne, prawda?

O mułłę walczy Iran, Afganistan, Turcja i oczywiście Uzbekistan. Jest nie tylko symbolem, ale i dojrzałą turystyczną krową. Figurki, książki, obrazki, splendor miasta.

Problemem Bucharzy zawsze była woda. A ściślej: jej ciągły brak. Gdy Rosjanie zajęli Samarkandę, mogli łatwo męczyć niepokorną Bucharę, zakręcając jej wodę. Wystarczyło zablokować kanały łączące miasto z rzeką Zerawszan, by w Bucharze cierpieli ludzie. W najgorszych przypadkach (a zdarzały się one regularnie) świeża woda pojawiała się w mieście co cztery tygodnie. Zbierano ją właśnie w sadzawkach, w których rozwijały się choroby. Na przykład obrzydliwa ryszta[47], która bezlitośnie zbierała swe żniwo. Tej samej wody używano do picia, gotowania i mycia się przed modlitwami. Średnia długość życia w tym czasie nie przekraczała 40 lat.

[47] Właściwie drakunkuloza, wywoływana przez pasożyta o nazwie *Dracunculus medienensis*. Jest to jasnożółty robak dochodzący do metra długości, żywiący się ludzkim ciałem. Mieszka pod skórą, a zarazić się nim można, pijąc wodę, w której żyją oczliki. Robaki oddychają powietrzem atmosferycznym poprzez otwór wywiercony w skórze.



[Kup książkę](#)

[Poleć książkę](#)

W środku dnia placky i uliczki należą do upału lub do dzieci. Już nie grają w Alak-Dolak, czyli coś, co w Polsce nazywano klipą**[48]**, lecz w piłkę nożną. Jak na całym świecie, ustawiają dwie torby lub dwa kamienie, by oznaczyć bramkę, i grają tanimi, gumowymi piłkami made in China. Żeby jeszcze bardziej nabrało to wszystko uzbeckiego charakteru, te piłki mają kolory... arbuza.

Na nowym bazarze, oddalonym o pół godziny spaceru od starego miasta, niemal wszystko jest made in China. Tylko owoce, warzywa i lepioszki są jeszcze lokalne. Wszystko inne ma na sobie trzy najpopularniejsze słowa na świecie.

Samarkanda

*Gorętszy znacznie wiatr czyni ducha hardym;
Dla żądz wiedzy, o czym się wiedzieć nie powinno,
Na szlak złoty weszliśmy aż do Samarkandy**[49]**.*

Ledwo wjechaliśmy do centrum starej Samarkandy, mineliśmy meczet Tamerlana**[50]** i Registan, gdy kilku mężczyzn zatrzymało nas tylko po to, by powiedzieć nam, że... jedziemy w złym kierunku. Tylko skąd oni wiedzieli, dokąd my jedziemy, skoro my sami tego nie wiedzieliśmy?

[48] Popularna kiedyś gra podwórkowa. Do gry używano dwóch kijów — dłuższego i krótszego. Dłuższym wybijano krótszy poza narysowane na ziemi koło. Kto złapał krótszy (klipę) i wrzucił go do koła, zajmował miejsce wybijającego. Gdy nikt nie złapał klipy, odległość od koła, liczona w krokach, stanowiła liczbę punktów. Wygrywał ten, kto pierwszy zdobył ustaloną wcześniej liczbę punktów.

[49] James Elroy Flecker, *Złota podróż do Samarkandy*.

[50] Timura Krwawego.

Szukaliśmy powoli hoteliku, ale żadnego konkretnego. Wiedzieliśmy, że w rejonie Registanu przycupnęło kilka i dopiero się rozglądaliśmy, ale oni dalej twierdzili, że jedziemy w złym kierunku, bo „do Bahodiru to musicie zawrócić i przy sklepie skrócić w prawo”.

Bahodir?

„No tak, Bahodir. Przecież wszyscy rowerzyści zatrzymują się w Bahodirze”.

Nie dyskutując, grzecznie zawróciliśmy i przy sklepie skróciliśmy w prawo, jak nam kazali. Zajechaliśmy do wspomnianego hoteliku Bahodir i od razu poczuliśmy się jak w domu. Już w korytarzu minęliśmy dwa motocykle, ale dopiero gdy weszliśmy na podwórko, prosto pod winogronową pergolę, zauważyliśmy, ile tu jest rowerów, ilu uśmiechniętych turystów, zobaczyliśmy ścianę pełną pocztówek i wszelkich ego-naklejek **[51]**.

Właściciel, który przedstawił nam się jako... Bahodir, powitał nas serdecznie i najpierw kazał nam odpocząć na tapczanie, napić się herbaty i zjeść kawałek arbuza. Najpierw gościna, potem biznes.

Coś dziwnie przyjemnego wisiało w powietrzu. Jakieś lenistwo i zapach spokoju. Wszędzie dookoła siedzieli turyści różnej maści. Rowerzyści i z plecakiem. Ciekawi naszych rowerów i mitomani. Cisi i głośni. Tygiel potrzeb i wartości. Oczywiście większość z nich spotkaliśmy już w Bucharze. Tak to bywa, gdy przez kraj wiedzie tak naprawdę jedna droga. Trudno na siebie nie wpaść.

Holandia, Francja, Japonia, Niemcy i Izrael. Pary, małżeństwa i samotni jeźdźcy. Bez przerostu ego i z nadmuchanym „ja”. Pełni historyjek i pytań.

„To wy też tylko 80 kilometrów dziennie? Ufff! I też takie ciężkie te rowery? A już myślałem, że to tylko my tacy głupi jesteśmy”.

Ktoś potrzebuje klucza do kaset, ktoś szprychy, ktoś wie, jak wyregulować hydrauliczne hamulce, a ktoś inny pokazuje, jak podcentrować koło. Wspólne obiady, kolacje, spacer i... plany.

[51] Ekspedycja taka, ekspedycja siaka. Jak to na skrzyżowaniu turystycznych szlaków.

„Kto chce jechać z nami do Taszkientu? A kto wybiera Szosę Pamirską? Może wy? Byłoby świetnie! Ktoś do Kazachstanu? Nie chce mi się jechać samemu. Poczekam, aż załatwicie wizy. Nie ma sprawy!”.

W Azji Środkowej dróg nie ma wiele i łatwo na siebie wpaść. Zwłaszcza gdy listę hotelików przyjaznych rowerowej braci podaje się dalej. Tu tanio, tu duże i dobre śniadanie, tam znowu darmowa pralka. W lipcu i sierpniu mało kto przyjeżdża do Uzbekistanu. Są jakieś grupy, jacyś rowerzyści czy kilku plecakowiczów, ale dla miejscowych „eta nie sezon. Sezon naczinajetsa w septiembrie” **[52]**.

Bo jest za gorąco. Bo jest za sucho. Bo jest za wietrznie.

I my w samym środku tego niesezonu. Gdy wiatr wieje prosto w oczy, gdy o dwudziestej pierwszej bywa 36 °C.

Hotelik składał się z podwórka obrośniętego winogronem, tapczanów, stołu, jadalni, która ukryła się w cieniu, i pokoi, które bardziej przypominały pokoje starej cioci niż hotelowe. Wszędzie stały stare meble, na podłogach leżały stare dywany. Rodzinne obrazy na ścianach i cała reszta bibelotów poustawiana na stolikach tylko wzmacniały wrażenie wizyty u rodziny, a nie pobytu w hotelu.

Sami właściciele też nie wyglądali na zmęczonych turystami. Raczej jakby się dobrze bawili powtarzalnością naszych zachowań. Najpierw herbata, ciastka i arbuz, oczywiście pite i jedzone wśród naszych podziękowań. Potem paszport i opłata. Potem oczywiście wielkie pranie i rozwieszanie tego wszystkiego wśród winogron. Każdy z nas, mniej lub bardziej podobnie, wpadał w te same podrózne schematy.

Gdy okazało się, że na obiad oczywiście będzie płow**[53]**, nikt nie protestował wobec propozycji, byśmy sami sobie coś ugotowali. Tak jak pisałem: raczej byliśmy u znajomych w gościnie, a nie w hotelu.

Żeby to jeszcze przypieczętować, żona Bahodira usiadła obok mnie wieczorem i przyniosła ze sobą rodzinny album. „Tu zdjęcia ojca. Zabrali go na wojnę i nigdy nie wrócił. Nawet go nie znałam. Malutka byłam”.

Samarkanda zawsze była dla mnie czymś magicznym. Błękitne kopuły meczetów, pochrząkiwania wielbłądów, nawoływania dobiegające z głębi bazarów. Wystarczyło, że przymknąłem oczy, wyszeptałem: „Samarkaandaaa”, a wszystko to stawało nagle przede mną.

Po Damaszku miało to być kolejne Ważne Miejsce na mapie naszej podróży. Wspomnienia o potędze Timura, zabytki i magia miejsca, które na stałe wpisało się złotymi literami w historię Jedwabnego Szlaku.

Samarkanda była jednym z tych miejsc, których nazwa budzi w sercu drżenie. Wyobrażenia podszyła dźwięki i zapachy. Stają nam przed oczami obrazy karawan, bazarów, wojowników i historii. Starej, bardzo starej historii. Mordujących wszystkich na swej drodze Mongołów, jeszcze przed nimi zdobywcy Aleksandra, a potem choćby Timura, nie bez powodu nazywanego Krwawym.

Miasto przetrwało wizytę wojsk Czyngis-chana lepiej niż inne miasta. Z pół miliona mieszkańców przetrwało co najmniej 50 tysięcy. Lepiej niż w Heracie, w którym ze stu tysięcy mieszkańców uratowało się szesnastu. Lepiej niż w Mary, gdzie wybito niemal wszystkich. Nawet psy i koty, a ci, którzy przetrwali, umarli na zarazę, żyjąc wśród zwłok.

Według chińskich spisów ludności, populacja północnych Chin zmniejszyła się o 42 miliony ludzi w ciągu 40 lat mongolskiej okupacji.

[53] Rodzaj lokalnego risotto. Więcej na stronie 204.



Niektórzy piszą, że Timur był kontrowersyjnym władcą. Myślę, że po prostu brak im odwagi, by napisać, że był chorym, sadystycznym draniem. Jak zresztą większość władców tamtych czasów w Azji Środkowej.

Nie wiem, czy to po mongolskich masakrach życie człowieka i zwierząt przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie, czy właśnie te masakry wyrosły z takiego przekonania. Faktem jest, że Timur potrafił wyróżnić co do jednego mieszkańców wielu miast, a z czaszek zabitych budować kopce. Ponoć ku przestrodze, ale tylko ślepy i głuchy nie bał się Timura, więc jakoś ten argument do mnie nie trafia. Łatwiej mi uwierzyć, że był pijany władzą i miał chore zachcianki.

Gdy zdobył Isfahan i wybił jego mieszkańców, kazał wybudować wieże składające się z tysiąca pięciuset głów. Pewnie zależało mu, by były tej samej wielkości.

W bitwie o Delhi, stolicę Indii, obladował wielbłądy drewnem i podpalił je, kierując przerażone i ryczące z bólu zwierzęta w stronę indyjskich słoni bojowych. Po wygranej w ten sposób bitwie kazał zabić 100 tysięcy jeńców.

Masakrując zdobyty Damaszek, kazał oszczędzić artystów i wysłać ich do Samarkandy. W ten sposób, w 35 lat, zbudował piękno Samarkandy, wymordował setki tysięcy ludzi i podbił tereny od Gruzji, przez Iran, Azję Środkową, pół Iraku, Kurdystan i dzisiejszy Pakistan po Chiny.

Grób Timura przykryty jest płytą z nefrytu. Przez wiele lat powodowała ona zdumienie nie tylko z powodu inskrypcji, którą nosiła („Gdy powstanę, świat się zatrzęsie”), ale przede wszystkim ze względu na swój rozmiar. Większość nefrytów miała wielkość najwyżej pięści, płyta taka jak na grobie Timura była niespotykana. Zupełnie przypadkiem odkrywcą kopalni nefrytu tej wielkości został polski oficer w służbie carskiej, Bronisław Grąbczewski [54].

[54] Bronisław Grąbczewski (ur. 15 stycznia 1855 w Kownatowie w powiecie telszewskim, zm. 27 lutego 1926 w Warszawie) — polski topograf, etnograf, podróżnik i odkrywca w służbie rosyjskiej. Generał lejtnant armii Imperium Rosyjskiego. Badacz Azji Środkowej.

Podróżując po Kaszgarii, dzisiejszym Sinciang, w okolicach rzeki Pil spotkał myśliwego, który zabrał go do częściowo zawalanej już kopalni.

Chińczycy nie tylko cenili nefryt ze względu na piękno kamienia, ale też przypisywali mu lecznicze właściwości. Między innymi wierzyli, że neutralizuje wszelkie trucizny, i chętnie robili z niego filiżanki i kielichy.

Według legendy na płycie znajduje się również druga inskrypcja, która przestrzega tego, kto otworzy grób. „Ktokolwiek otworzy mój grób, obudzi najeźdźcę straszniejszego ode mnie”. Czy jest to prawda, czy też nie — nie wiadomo. Faktem pozostaje, że gdy grób otworzono w 1941 roku, dwa dni później Trzecia Rzesza rozpoczęła operację „Barbarossa” i napadła na ZSRR. Wiadomo, że planowali to trochę dłużej niż dwa dni, ale jakkolwiek patrzeć — klątwa się ziściła.

Do Samarkandy przyjeżdża się w jednym celu: zobaczyć Registan. Kwadratowy plac otoczony z trzech stron medresami.

Perła Islamu. Rzym Wschodu. Riu Zamin — Oblicze Ziemi, jak nazywali kiedyś to miejsce poeci i geografowie starożytnej Persji, Indii, Chin czy... Egiptu i Bizancjum.

Wszystkie te epitety i wyszukane nazwy powstały po to, by oddać piękno i wielkość miejsca. Placu, na którym odbywały się parady, festiwale, niedzielny bazar. Placu, na którym przyjmowano posłów i ścinano głowy skazanym.

Medresy przy Registanie w Samarkandzie to: medresa Uług Bega, medresa Sher-Dor i medresa Tillya Kari. Medresa to nic innego jak muzułmańska szkoła koraniczna. W dodatku tylko dla chłopców z bogatych rodzin. Oczywiście tak było kiedyś, kiedy edukacja była zarezerwowana dla elit.

Kierował ekspedycjami naukowymi w Hindukuszu, Kaszgarii, Tybecie, Afganistanie i Pamirze [źródło: Wikipedia].

W elitarnej samarkandzkiej medresie nauka trwała od dziesięciu do nawet dwudziestu lat. Wykładano tu nie tylko islam, ale też ówczesne nauki humanistyczne. A wykladał nie byle kto, bo w medresie Uług Bega nauczał sam... Uług Beg, który był wnukiem Timura, wielkim sułtanem, a przy okazji matematykiem i astronomem. Nawet Jan Heweliusz używał jego wyliczeń w swym *Atlasie ciał niebieskich*. Uługowi bardzo zależało na szybkim wybudowaniu medresy i wszystko zajęło dokładnie cztery lata, co zresztą widać do dziś. Ściany są w niektórych miejscach krzywe, zdobienia też nie są zbyt idealnie symetryczne.

Dwieście lat później, już w XVII wieku, powstały kolejne dwie medresy. Najpierw Sher-Dor, którą łatwo odróżnić po perskich lwach zdobiących frontową ścianę, i Tillya Kari, czyli „pokryta złotem”. Ciekawe, że ta ostatnia była wybudowana według wszelkich zasad jako medresa, a służyła głównie jako... meczet.

W islamie zawsze ważny jest szacunek i posłuszeństwo. Samo słowo „islam” znaczy właśnie „posłuszeństwo” i aby młodzi — jak wiadomo, nierzadko buntujący się — uczniowie nigdy o tym nie zapominali, w medresach budowano niskie wejścia. Każdy, kto wchodził, czy chciał, czy też nie, musiał się pochylić i tym samym przywitać wszystkich. Oczywiście mógłby ugiąć kolana, gdyby był bardzo uparty, i wejść bez kiwnięcia głową, ale wyglądałby wtedy... raczej głupio.

Dziś to miasto okazało się dla nas lekkim rozczarowaniem. Wzdłuż ulicy Newskiej, która ciągnie się od podnóży bazaru aż do Registanu, zagnieździły się sklepiki z pamiątkami. Istne salony, z których zza wielkich szyb nęcą nas dywany, tradycyjne ubrania i ceramika. Oczywiście, że taka jest kolej rzeczy i wcześniej czy później wszystko zamienia się w komercyjną atrakcję turystyczną, ale sklepiki poukrywane w krużgankach meczetów i medres po prostu żółszą. Przecież nie po to wchodzi się do takiego miejsca, by kupić sobie czekoladki pewnej korporacji.



PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

- 
- A central image showing four hands, one from each corner, placing puzzle pieces into a square frame. The top-left and bottom-left hands are holding olive green pieces, while the top-right and bottom-right hands are holding red pieces. The pieces are being positioned to complete a square.
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>



Jedwabny Szlak. Otoczony nimbem tajemniczości, budzący baśniowe skojarzenia, przecinający miasta, których nazwy przywołują w pamięci historie z *Księgi tysiąca i jednej nocy*. Szlak kupców, podróżników i poszukiwaczy przygód, lecz również miejsce spotkań i wymiany myśli filozofów, mistyków, świętych mężów. Droga, którą na zachód podążały jedwab, żelazo i papier, w przeciwnym kierunku — złoto, perfumy i żywność, a w obydwie strony — idee, opowieści i legendy. *Tysiąc szklanek herbaty* to w gruncie rzeczy nie jest książką o Jedwabnym Szlaku, raczej o ludziach, którzy nim podążają i o tych, którzy żyją na jego trasie. O ludziach i o spotkaniach z nimi przy tytułowej herbacie. Ta herbata — jak pisze autor — jest zawsze gorąca, tak jak zaproszenie do domu. Przekonajcie się, jak przebiegały te spotkania i na czym polega prawdziwa magia azjatyckiej gościnności.



Robert „Robb” Maciąg (urodzony w 1974 roku, we Wrocławiu) — z wykształcenia nauczyciel specjalny, z pasji podróżnik i fotografik. Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Gdańskim wyjechał za granicę. Od 2010 roku mieszka znów w Polsce, w okolicach Jeleniej Góry, w Krainie Wygasłych Wulkanów. Uwielbia fotografować ludzi. Jest laureatem konkursu Podróżnik Roku miesięcznika „Podróż” i zdobywcą Travelera miesięcznika „National Geographic”. Jest też autorem publikacji *Rowerem przez Chiny...*, *Rowerem w stronę Indii* oraz licznych artykułów prasowych. Na co dzień wraz z żoną Anią prowadzi warsztaty o świecie dla szkół oraz fundację *Szkoły na końcu świata*.

Publikacja
polecana przez:

Nr katalogowy: 7506



Księgarnia internetowa:
<http://bezdroza.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900



Bezdroża

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
• <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
• <http://bezdroza.pl/newsletter>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

Cena 34,90 zł

ISBN 978-83-246-3634-1



9 788324 636914 >